Jesienne popołudnie

Wilek Markiewicz, Autumn, olej, pastel

Wilek Markiewicz

Pięknego jesiennego popołudnia szedłem aleją, w której długie cienie tworzyły kompozycje ze złotawym przyprószonym światłem. Poczucie ciszy było zawieszone w powietrzu; dziwne, nierealne piękno jesieni, tak różne od tego, co wiosna czy zima przynoszą. Piękno zimy wyraża bardziej piękno martwej natury niźli krajobrazu, ponieważ nie ma w zimie impulsu życia, tylko opór stawiany śmierci.

Debussy w „Popołudniu Fauna” idealnie wyraził piękno jesieni. Dla młodości śmierć nie istnieje. W „Popołudniu Fauna” Debussy inicjuje dialog między życiem a śmiercią, ukojeniem a trwogą, jak w pięknym, jesiennym popołudniu. „Popołudnie” Debussy’ego jest antropomorficzne i uniwersalne; w młodości jesteś monolitem, zaś „po południu” stajesz się równaniem między zmrokiem i tym co jeszcze pozostało ze światła. To jest „łabędzi śpiew,” piękny dla słuchacza, lecz dręczący z punktu widzenia łabędzia, gdyż oznaczający bliski kres.

Gdy jesteś młody i pełen wiosny, odbierasz i podziwiasz dramat jesieni i zimy. Lecz gdy jesień-zima penetruje w ciebie, odbierasz nie piękno lecz smutek, który, talentem jak u Debussy’ego, możesz przetworzyć w orędzie piękna, dzięki energii życia-światła, jeszcze pozostałej w tobie.

Wilek Markiewicz, „Spark from Madrid”, olej, płótno. Obraz został wyróżniony na międzynarodowej wystawie malarskiej w Vareze (półn. Włochy).

Migawka z Madrytu

Pewnego dnia stałem przy sztaludze na Plaza de Oriente, tuż obok pałacu królewskiego, pochłonięty pejzażem. W pewnej chwili natarczywy szturchaniec zmusił mnie do odwrócenia głowy. Ujrzałem przed sobą starszą, zaniedbaną kobietę, brzydką, o okrągłej twarzy i spojrzeniu bez wyrazu. Przeprosiła mnie za nie chcące potrącenie. Chciałem malować dalej, lecz ona, uważając widać znajomość za zawartą, zaczęła pogawędkę.

Po wymianie kilku zdawkowych zdań o obrazie, zaczęła opowiadać o sobie. Nie słuchałem zbytnio, czekając aż się znudzi i odejdzie. Była mowa, że ma jakieś kłopoty z dokumentami, których gmina rodzinnej wioski nie chce jej wydać mówiąc, że papiery „gdzieś pofrunęły”. – Ludzie się ze mnie śmieją, uważają mnie za głupią, za wariatkę – żaliła się przede mną. – Lecz nie wiedzą, że ja myślę o rzeczach wielkich i pięknych. O rzeczach wielkich i pięknych – powtórzyła. – Tak jak mój ojciec.

Na początku poczułem, jakby zagadała jakimś obcym niezrozumiałym językiem. Gdy wreszcie do mnie dotarło, co powiedziała, pierwszym moim odruchem było spojrzeć wokół siebie. Nic się nie zmieniło – samochody, piesi, ruch wielkomiejski szedł swoim normalnym torem, lecz jakiś wewnętrzny zmysł sprawiedliwości został wstrząśnięty we mnie tą dysharmonią pomiędzy panującym banałem a tą odrzucona przez społeczeństwo nędzarką, której wypowiedź spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

Myślałem o pokłosiu inteligencji, wrażliwości, poezji, nieoczekiwanym i nikogo nie interesującym, gubiącym się bez śladu na nieużytkowej glebie. Myślałem o dwóch pokoleniach ludzi – jej ojciec i ona – które niczego sobą nie przedstawiały prócz cierpień i zmarnowanych możliwości.

Jak to zrozumieć, a przede wszystkim, jak to przyjąć?

Zaprosiła mnie na piwo, zapewne za szacunek i wysłuchanie. Zrozumiała, że nie mogę zostawić sztalug na ulicy i nie obraziła się za odmowę. Nigdy już jej nie spotkałem, ale na pewno nigdy jej nie zapomnę.

Wilek Markiewicz, Atmetlia, olej, płótno.

Konieczne kłamstwa (fragm.)

Montreal

Ewa Stachniak

Przełożył Zbigniew Stachniak

Część I: Montreal 1981

Piotr powiedziałby, że Anna zdradziła Polskę już wtedy.

Nie miałby na myśli tego, że zauroczyła się komfortem Kanady, przepastnymi supermarketami przepełnionymi jedzeniem, błyszczącymi światłami montrealskich biurowców, które z taką dokładnością opisywała mu w swoich listach. Nie chodziłoby mu nawet o to, z jaką łatwością zachwycała się nawet najdrobniejszymi błahostkami.

Życzliwym uśmiechem mijanych na ulicy nieznajomych. Samochodami zatrzymującymi się na przejściach dla pieszych. Wypielęgnowanymi trawnikami nawilżanymi szemrzącymi kaskadami wody. Mężczyzną na ulicy Sherbrooke, który pochylił się by sprzątnąć po swoim psie.

Piotr powiedziałby Annie, że symptomy jej zdrady były o wiele bardziej wyraźne i daleko bardziej niepokojące. Powiedziałby, że pozwoliła, by strach zakradł się w jej serce. I miałby rację.

To, że Anna znalazła się w Montrealu było czystym przypadkiem. W Polsce uczyła literatury angielskiej na wrocławskiej anglistyce. Starała się o stypendium do Anglii, chciała studiować literaturę emigracyjną, ale jej podanie ugrzęzło w kolejce. Kanadyjskie stypendium było niespodziewanym darem losu.

—Będzie Pani musiała wyjechać pod koniec sierpnia—powiedziała sekretarka dziekana, która niespodziewanie zadzwoniła do Anny późnym wieczorem. —Oni zaczynają rok akademicki we wrześniu.

Piotr obserwował Annę siedząc w fotelu, z uniesionymi brwiami. Rozłożyła ręce, w geście pełnym zaskoczenia.

—Ktoś coś pokręcił—usłyszała w słuchawce. —Dostaliśmy pilny telefon z Ambasady kanadyjskiej. Potrzebują kogoś z humanistyki. Na wczoraj. Chce Pani jechać?

—Chcę—powiedziała.

Sześć miesięcy w dobrej bibliotece było kuszące. —Jakiejkolwiek dobrej bibliotece—powiedziała do Piotra, który przyciągnął ją ku sobie. Czuła jego palce drążące tunele w jej gęstych włosach, pieszczące jej szyję, ramiona. Anna w milczeniu rozważała argumenty. Choć miała dwadzieścia osiem lat, nigdy w życiu nie była na Zachodzie. Nawet gdyby udało jej się zaoszczędzić tylko sto dolarów, to i tak byłoby to więcej niż jej całoroczna pensja. No i ta zwykła potrzeba odpoczynku, kilka miesięcy oderwania się od rzeczywistości kolejek, strajków, protestów. A poza tym to tylko pół roku, w lutym przecież będzie z powrotem we Wrocławiu. Zdąży na początek drugiego semestru.

Piotr szeptał jej imię. —Jedź—szeptał. –Jedź. Krawędź fotela uciskała jej biodro.

Dotyk ust Piotra łaskotał, rozśmieszał. Będzie po prostu za nią tęsknił. To wszystko.

—A może pojedziesz ze mną—spytała, wiedząc dobrze, co odpowie. –Teraz? Kiedy wszystko miało się rozstrzygnąć? Gdy los Polski wisi na włosku.

[Strony: 31-33. Anna w Montrealu. Spotkanie z Williamem.]

U wejścia do holu Klubu uniwersyteckiego McGill, wyłożonego drewnianą boazerią, dostała naklejkę z napisem: Anna Nowicka, Polska. Gość Wydziału Anglistyki Uniwersytetu McGill. Uczucie niepewności wyparowało bez śladu. Zdziwiła ją łatwość, z jaką nawiązywano rozmowy. “Pomyślałem, że mógłbym do Pani podejść i przywitać się,” wystarczyło w zupełności.

—Niestety, mój mąż nie mógł ze mną przyjechać—odpowiadała na częste zapytanie. Uzyskanie dwóch paszportów byłoby raczej trudne, a, co ważniejsze, Piotr nie mógł tak po prostu wyjechać. Wykładał prawo cywilne na uniwersytecie wrocławskim. Był doradcą prawnym lokalnego oddziału Solidarności. Oczywiście jej wyjazd bez niego nie był najlepszym rozwiązaniem, ale cóż innego pozostawało.

—Dziewczyna z Breslau! —To był głos Williama, głos pełen zachwytu. —Z jakiego miasta Pani przyjechała?—zapytał. —Z Wrocławia—odpowiedziała, przygotowana na konieczność wyjaśniania przesuniętych granic powojennej Europy, historię ziem utraconych i odzyskanych, historię, w której niemieckie miasto stało się polskim. Ale William nie prosił o wyjaśnienia.

—Dziewczyna z Breslau—powtórzył. —Co za zbieg okoliczności!

—Z W r o c ł a w i a—zaprotestowałaby jej mama, każda sylaba jak rytmiczne uderzenie w bęben. W R O – C Ł A W. Tak by to właśnie powiedziała. WRO – CŁAW, jej twarz zastygła w grymasie nieufności.

William zmrużył oczy z zadowolenia. Uśmiechnął się. Miał na sobie czarny golf, na nim rozpiętą koszulę. Żółte i czerwone plamy kolorów splatały się na niej jak wirujące wstążki zręcznie manipulowane ręką żonglera. Patrząc na jego równo przyciętą brodę myślała o piórach jakiegoś rzadkiego, srebrnego ptaka. William przyniósł jej lampkę wina. Anna czuła jak kształt nóżki kieliszka odciska się na jej palcach.

Wiedziała, że mu się podoba, widziała to w jego niebieskich oczach, w jego uśmiechu, potęgującym się nienasyceniu widokiem jej loków, każdym ruchem jej głowy. Jak gdyby z każdym najprostszym gestem udawało jej się osiągnąć coś naprawdę niezwykłego. Coś wyjątkowego, czego nikt inny, nigdy przedtem, nie osiągnął.

—A więc Pan wie gdzie to jest—zapytała, odgarniając włosy spadające jej na twarz.

Dnie były nadal upalne. Anna miała na sobie luźną sukienkę, którą kupiła w hinduskim sklepie na ulicy St. Laurent. Czarna bawełna, z fioletowymi plamami w kształcie spadających liści.

—Dziwi to Panią?

—Tak.

—Urodziłem się tam—powiedział. —Oczywiście wtedy był to jeszcze Breslau. Tak więc, w rzeczywistości, pochodzimy z tego samego miasta.

Bawiła się koralikami, które wplotła tego dnia we włosy, obracając je w palcach i puszczając. Myślała o swojej starej fotografii: drobna dziewczęca postać, biała sukienka, aureola jasnych włosów.

Na tym starym, czarno-białym zdjęciu trzyma rękę mamy. Za nimi ruiny Wrocławia; zwały gruzu wysypujące się na ulicę. Stosy cegieł, niektóre nadal zespolone zaprawą, strzaskane płyty betonu i granitu. Morze ruin otaczające wysepki stojących jeszcze domów. Powykręcane sterczące pręty w betonowych blokach, w byłych fundamentach. Spękane mury domów z obnażoną trzcinową siatką, jak z zastygłymi żyłami pod martwą skórą. Wypatroszone domy z wypalonymi ścianami, z wyraźnymi bliznami po nie istniejących już balkonach. Odsłonięte wnętrza byłych pokoi—salonów, sypialni, gabinetów—zdradzały teraz gusty byłych mieszkańców, mozaiki zieleni i błękitu, tapety lub malowane ściany. Ulice poryte wybuchami. Leje po bombach z koronami uwieńczonymi uliczną kostką i spękanymi, granitowymi płytami chodników. Ulice prowadzące do nie istniejących osiedli, gładkie stalowe szyny tramwajowe wiodące w ruiny zarośnięte trawą i chwastami.

—To jeszcze nic takiego—wspominali rodzice Anny. W 1945 roku, tuż po ich

przyjeździe do Wrocławia, bali się przechodzić obok opuszczonych domów, obok ruin i popiołu. Miasto było puste, tak przeraźliwie puste, że widok dziecka idącego ulicą napełniał im oczy łzami. Wrocławskie dzieci, pierwsza, niepewna zapowiedź stabilizacji. Kiedy Anna się urodziła, zabytkowe kamieniczki wrocławskiego Rynku były już odbudowane, ich fasady pomalowane na biało, beżowo i jasno-żółto. Kiedy Anna była już na tyle duża, że rodzice mogli ją zabrać na dłuższe spacery wokół gotyckiego Ratusza z jaskrawo pomalowanym zegarem słonecznym lub na Ostrów Tumski wzdłuż katedry z majestatycznymi wieżami, można było niemal uwierzyć, że wojna przeszła gdzieś obok.

. . . .

[Anna zakochuje się w Williamie, z wzajemnością. Postanawia odejść od Piotra, zostać w Kanadzie i rozpocząć nowe życie. Dzwoni do niego na początku grudnia, raniąc go boleśnie. W kilka dni po tej rozmowie, w Polsce wprowadzony jest stan wojenny. Piotr jest internowany. Mimo wahań Anna rozwodzi się z Piotrem i wychodzi za mąż za Williama.]

Część II: Montreal 1991

[Dziesięć lat później. William umiera nagle na zawał serca. Anna idzie do jego biura na montrealskim uniwersytecie McGill, by uporządkować pozostałe po mężu papiery.]

str. 96-104.

W teczce “Osobiste” Anna znajduje grubą, zaklejoną kopertę. Rozrywa ją. Z koperty wysypują się na biurko listy, kartki pocztowe i fotografie. Na tych fotografiach, robionych w krótkich odstępach czasu, wyraz twarzy Williama zmienia się od tego charakterystycznego dla niego zamyślenia do uśmiechu. Ubrany w czarny golf i brązową marynarkę z tweedu, którą Anna tak zawsze lubiła, pochyla się do przodu, jak gdyby starał się przekonać kogoś o czymś niezmiernie ważnym. Na ostatniej fotografii srebrny lok włosów opada mu na czoło, zatrzymana chwila, po której ten lok może jedynie odgarnąć.

Kartka z Baden-Baden—stara, słodka widokówka, wieńce z kwiatów. Z radośnie

bijących dzwonów wylewają się nuty. Pismo jest trudne do odczytania, litery wysokie i ściśnięte. Mija kilka chwil zanim Anna wyłowi sens w tych ostrych linijkach pisma, odróżni jedno słowo od drugiego. *L'absence est à l'amour ce qu'est au feu le vent, il éteant le petit il allume le grand*. Podpisane: Urszula.

Otwiera małą niebieską kopertę i wyciąga z niej złożoną kartkę papieru. Jej serce zamiera na moment by ruszyć gwałtownie, tłocząc pospiesznie krew do twarzy. Papier drży w jej rękach.

Kochanie. Tak pusto tu bez ciebie. Echo dzwoni w pokojach, odbija moje kroki, ale Twój głos dociera do mnie zewsząd. Udaję, że wyszedłeś na chwilę i że zaraz wrócisz, jak dobry mąż, który wyjechał w krótką podróż. Czuję się Twoją żoną w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Czegoż więcej nam potrzeba? Urszula

Kolejna kartka papieru, złożona we czworo szeleści, gdy ją otwiera. Bez daty.

Przyjechałam późno. Mieszkanie zimne i ciemne, bo przed wyjazdem obniżyłam termostat. Moja pruska oszczędność, skąpstwo mojej duszy. Wczołgałam się do łóżka myśląc o Tobie. Dziś nie chcę z nikim rozmawiać, bo zagłuszyłabym Twój głos. Urs.

Niech więc będzie Londyn. Zjemy kolację w Hotelu Durrants, a potem przejdziemy się George Street i będziemy się całować. Musisz mnie zdobywać. Proszę o wstążkę i grzebień. I zabierz mnie do muzeum figur woskowych, gdzie będziemy śmiać się w nieruchome twarze. Będziemy się kochać i pić okropnie mocną herbatę (oczywiście najpierw wlewając mleko) i będziemy tak brytyjscy jak tylko Niemcy mogą tego pragnąć.

Anna siada, nogi nie są w stanie utrzymać ciężaru jej ciała. Wyczuwa czyjąś obecność, czyjś dotyk na ramieniu. Obraca głowę, ale widzi tylko puste półki, które przed chwilą opróżniła z książek. Nie ma na nich nic poza szarym kurzem. To nieprawda, próbuje przekonać samą siebie. To nie może być prawdą.

—Tylko na kilka dni—pamięta jego słowa. — Muszę być sam. Rozumiesz mnie, kochana? Stała w drzwiach i patrzyła jak pakował brązową skórzaną walizkę. Beżowe sztruksowe spodnie ułożone płasko na dnie, tuż obok starannie zrolowane skarpety. Szetlandzkie swetry złożone w równe kwadraty, puste rękawy wsunięte do

środka. Patrzyła, jak zamykał małą saszetkę pachnącą sandałowym drzewem.

—“Bądźcie razem, ale nie zbyt blisko siebie, jak dwie kolumny podtrzymujące kopułę świątyni”—powiedział kiedyś. Sentencja z “Proroka”, jeden z prezentów, jakim ją obdarzył, maksymy lat sześćdziesiątych. Nie odwiozła go. William nie znosił lotniskowych rozstań. Wolał pożegnać się w domu, a ona starała się nie obejmować go zbyt długo, udając zniecierpliwienie, aby ukryć ból. Nie mogła sobie pozwolić na gniew. Na to, by wylał się z niej, wykipiał. —Dzięki Bogu nie jesteś taka jak Marilyn— powiedział jej kiedyś. Zapamiętała każde słowo, którym określał swoją byłą żonę. —Nie ma w Tobie nic z jej mściwości.

Już wtedy myślał o chwili, gdy do niej wróci, wsuwał rękę pod jej sweter, obejmował ją i przyciągał do siebie. —Zadzwonię—szeptał jej do ucha.

Dzwonił. Z Frankfurtu, Berlina, Monachium, jego głos pełen radości i troski o nią. —Tęsknisz za mną, kochana?—pytał. Odpowiadała ze śmiechem, radością. —Rozumiesz mnie, prawda? —Ufała, że rzeczywiście potrzebował kilku dni samotności. Czy naprawdę wierzył, że zaakceptowałaby zdradę? Nie, to niemożliwe. Nie William. To wszystko nie ma żadnego sensu. Nie ma prawa go podejrzewać.

Dziś skończyłam “Twarze kobiet”. Wszystkie zdjęcia są czarno białe. Kolor zacierał tylko te śmiertelne transformacje, które chciałam uchwycić. Nie musisz się niepokoić, kochanie, moje obsesje nie są aż tak łatwe do rozszyfrowania. Nazistki są obecne jedynie duszą, w spojrzeniach pełnych poddania, fanatyzmu i samo-zniszczenia. Te twarze są wszędzie. Wystarczyło kilka wieczorów w berlińskich barach. Lothar nic nie powiedział, tylko objął mnie mocno. To była najlepsza recenzja, jaką dostałam. Po wystawie, idę Ku-damem, wciąż patrząc na twarze. Hałaśliwe Disco wylewa się ze sklepów na ulicę. Młode dziewczyny noszą obcisłe bluzki i dżinsy, balansując na wysokich koturnach. Nastolatki mają donośne głosy i odważne spojrzenia. Ja, jak zwykle w takich momentach, jestem pusta i obolała. Zbyt łatwo zajmuję się głupstwami, poddaję się chwilom bez znaczenia.

Anna zdejmuje okulary i zamyka oczy. Powieki bolą i swędzą, jak gdyby posiekane tysiącem drobnych, niewidocznych spękań. Wie, że ból można tylko przeczekać. Ale palce nadal trą nabrzmiałe powieki, aż do łez, aż na wilgotnych palcach pojawiają się wydarte rzęsy. Kiedy wreszcie otwiera oczy, ściany zatraciły swoją geometrię, stały

się widmem kolorów, sufit—białą jednolitą przestrzeń, bez skazy, bez końca.

Kochany! Nie! Żadnych żalów. Żadnych! Budzę się wieczorami i oglądam przez okno światła Berlina, udaję, że jesteś tu ze mną. Chce mi się morza—zimnego, zielonego, pachnącego wodorostami i mokrym drewnem. Pragnę ucieczki od tej ciągłej gorączki. Mówisz mi, że zapominam o rzeczach istotnych, zastępując je ekstazą i rozpaczą. Słucham Cię. Czasami. U.

Twarz Anny jest rozpalona. Przykłada ręce do rozognionych policzków. Coś musi się teraz wydarzyć, jakieś konieczne następstwo tych odkryć, coś, co je wyjaśni i uwolni ją od nich. Na korytarzu słychać odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, czyjś głos wznoszący się i gwałtownie opadający, uciszony, nagle ucięty. —Tak, tak—słyszy. —Bardzo mi przykro— Anna uświadamia sobie, że Valerie musiała wkładać te listy do skrzynki pocztowej Williama; przez lata musiała obserwować jak wyciągał je z niecierpliwością i spieszył do swojego biura by je tam otworzyć.

Wstaje i robi kilka kroków. To niesprawiedliwe, myśli. Nie teraz. Nie teraz, gdy William nie żyje, gdy nie może nic wyjaśnić. Ponownie siada przy biurku.

Kochanie. Twój głos brzmiał smutno i tak jakoś błagalnie. Przepraszam, że miałam tak mało czasu. Zadzwoniłeś w trakcie sesji. Próbowałam oddzwonić później, ale wyszedłeś już z biura. Nie, nie jest mi wcale łatwiej. To, że akurat ja to powiedziałam wcale nie znaczy, że to jest tylko i wyłącznie moja decyzja. Istnieje historyczny dowód na to, że będąc razem skończylibyśmy rzucając się sobie do gardeł, że spłonęlibyśmy w nienawiści, więc nie próbuj zmienić mojego postanowienia. Być może pojawię się w Montrealu w przyszłym miesiącu, chciałabym sfotografować twarze podczas waszych kanadyjskich narodowych parad, progres quebeckiego Referendum, więc nie dąsaj się na mnie zbyt długo. Powiedz mi raczej, co Twój wspaniały, niewinny kraj zrobi, gdy się zacznie rozpadać na kawałki. "Je me souviens?" Czyż nie te słowa widnieją na tablicach rejestracyjnych Waszych samochodów?

Referendum w Quebec. To na długo przed jej przyjazdem do Kanady. Oczywiście! Te listy były pisane zanim jeszcze poznała Williama. Okruchy czasu, do których Anna nie ma żadnych praw. William miał kochankę, wnioskuje Anna, kiedy był jeszcze żonaty z Marilyn. Nie powiedział jej o tym. Nie chciał, by myślała, że jest zdolny do

zdrady. To przemilczenie jest bolesne, ale w gruncie rzeczy zupełnie zrozumiałe, można nawet pomyśleć, że jest pewną formą dyskrecji. Ona też nie opowiadała mu aż tak dużo o Piotrze.

Październik, 1979. Czerń jest jak trucizna, wysysa kolor, a ja poddaję się jej powoli. Najpierw odpływa nadzieja, potem opuszcza mnie energia. Siedzę i patrzę na ściany pokoju, czekając aż ten stan mnie opuści. Czekam aż dzięki boskiej pomocy nastanie nowy początek, któremu się poddam, aby powstać i zacząć od nowa.

Do niektórych listów doklejone są artykuły wycięte z magazynów. Złożone, pożółkłe na brzegach. Po niemiecku, po angielsku. Anna odkłada je na bok, z niecierpliwością. Będzie dosyć czasu, by je przeczytać. Teraz potrzebuje potwierdzenia.

Styczeń 1980. Nie, nie było tak źle. Mała potyczka między twórczością a zwątpieniem. Nie masz powodu do obaw. Zanurzam się w takie dnie bez oporów i wynurzam się silniejsza. Niebo ma kolor szafiru, a wiatr wciska się w pory skóry. Wślizgnęłam się do tego małego kościołka, tuż za rogiem. Futra pachniały kamforą, słuchałam pastora, który miał złoty ząb i z lekka seplenił. “Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków.” Niewiele nadziei na zmiany, nicht wahr? Dziś obudziłam się pełna postanowień. Jak więźniowi, wystarczy mi łyżeczka do herbaty do kopania tunelu. Jak się uda, pozbędę się wykopanej ziemi, piasku i kamieni.

Marzec 1980. Przeszłam dziś wzdłuż Muru. Po wschodniej stronie drzwi i okna mieszkań wychodzących na Zachód są zaślepione. Berlin to przecież podzielone miasto; a nasze niemieckie metafory są solidne, z uzbrojonego betonu. Strażnicy po wschodniej stronie gotowi są strzelać i zabijać. Odważni nadal kopią tunele, uciekają kulom. Ci, którym uda się dotrzeć na naszą stronę, a czasami widzę ich w naszych barach, zapijają się do nieprzytomności, rzucają oskarżenia prosto w nasze twarze. Dla nich jesteśmy zimni, niewrażliwi, i naiwni. I nic nie rozumiemy.

Anna sprawdza pieczątki pocztowe, wiele listów nie ma daty. Przypomina sobie, że William trzymał szkło powiększające w jednej z szuflad biurka. Jest tam jeszcze, w czarnym skórzanym futerale. Przypatruje się uważnie zamazanym cyfrom. 1980, 1977. Luki w korespondencji, ale to tylko złudzenie, bo brakujące listy się odnajdują, przemieszczone jedynie, niezauważone. William znał Urszulę od wielu lat.

—Fotograf z Berlina, znajoma—powiedział kiedyś. Przez całe miesiące “fotograf” nie miał imienia, a Anna nie zapytała.

Podczas innej rozmowy padło imię, Urszula. Wspomniał je któryś ze znajomych Williama. Chyba Malkolm. Zapytał o przyjaciółkę—fotografa z Berlina. –Masz na myśli Urszulę? —zapytał William. —Kogo? —powiedziała Anna, a on powtórzył—Urszulę, no przecież wiesz, ta znajoma z Berlina, o której ci wspominałem.

W jego głosie wyczuła lekkie drżenie. Znak, że dźwięk jej imienia sprawiał mu przyjemność.

—Zupełnie zwariowana—dodał. —Nie potrafi się oszczędzać.

Wiele z tych listów pisanych jest ręcznie. Anna rozszyfrowuje je powoli, porównując kształty liter, zgadując słowa. *Życie jest zbyt krótkie by trawić je na małostki* – czyta. *Kocham Cię naprawdę, mimo że jesteś taki niecierpliwy*. – Czyta teraz pobieżnie, szukając zmiany tonu, oznak gasnącej miłości zamieniającej się w przyjaźń.

Wrzesień 1981. William, co się dzieje z naszą miłością? Osłabia mnie, ulizuje. Snuję się dniami z uśmieszkiem samozadowolenia i wszędzie widzę Twoją twarz. Łapię się na tym, że powtarzam Twoje słowa. Podśpiewuję, podskakuję z radości. Nie wpadaj zaraz w samouwielbienie. To widok raczej żałosny. Właśnie dlatego proszę Cię, byś nie przyjeżdżał. Nie gniewaj się. Nie stracisz mnie nigdy. Po prostu pozwól mi pooddychać przez chwilę, a będę Cię za to kochać jeszcze bardziej.

Październik 1981. To nasze dusze, kochany. Nie mogą zapomnieć tych innych możliwych żywotów, których mogłyby doświadczyć. Przeraża mnie jak wiele musimy odrzucić, aby dokonać wyboru.

Październik 1981, Polka i emigrantka, William? Czyżby jeszcze jeden z Twoich gestów zadośćuczynienia?

Ból wargi. Dopiero po chwili Anna uświadamia sobie, że to jej zęby wbiły się głęboko w wargę, przecinając skórę. Na palcach, którymi przed chwilą dotknęła ust ślady krwi. Przez dłuższą chwilę patrzy na poplamione palce, zanim je wytrze. Tłumaczenia nie mają już sensu. —Idiotka—mówi na głos. —Skończona idiotka!

Słyszy głos matki. —Czego oczekiwałaś? Od Niemca?

Każda data na liście jest jak smagnięcie biczem. —Do samego końca—Anna powtarza, z niedowierzaniem. —Do samego końca.

Maj 1987. Nigdy nie obiecywałam, że będę wierna, i nigdy nie dopraszałam się o Twoją niepodzielną uwagę. Wiem dobrze, że nigdy nie przyznasz się do zazdrości. Jak zwykle będziesz się dąsał i będziesz starał się mnie ukarać tymi swoimi śmiesznymi gierkami. Och, jak mogę sobie pozwolić na taką bezpośredniość. Przepraszam! Biedny mały Willi. Czyżbym raniła Twoją wrażliwość? Nie wierzę w sekrety i nigdy nie ukrywałam Twojego istnienia przed nikim w moim życiu. To Ty udajesz, że przeszłość można oddzielić od przyszłości, a ja Ci na to pozwalam. Daj mi więc spokój i oszczędź mi tych swoich kazań.

Marzec 1989. Nie gniewaj się. Obudziłam się dziś w tragicznym nastroju, pełna rozpaczy. Popatrzyłam na moje ostatnie zdjęcia. Są do niczego. Fałszywe, wymuszone. Zbyt naiwne, zbyt czyste. Okropność! Dobra fotografia jest jak przepowiednia, czyż nie tak? Powinna uchwycić coś z przyszłości, więc trzeba się spieszyć, bo czas zbyt łatwo zamienia takie przepowiednie w banał. Więc spieszę się jak głupia, gonię za każdą intuicją.

Styczeń 1990. Kiedy wracałam do Berlina, widziałam wschód słońca. Rozciągał się po niebie, różowy i czerwony i złoty. "Wstążka po wstążce." Pamiętasz kochany? Może masz rację, może nie jestem aż taka silna jak mi się wydaje. Zadzwoniłam do Lothara. Przyszedł i pozwolił mi mówić o Tobie, bez końca. Zrobił mi herbatę i skończyliśmy tę butelkę brandy, którą zostawiłeś. Nie byłam w stanie wypić jej sama.

Listopad 1990. Więc to już za tydzień. W Monachium. Na mojej mapie świata zaznaczam czerwoną flagą wszystkie te miasta, w których spotykaliśmy się. Zaułki miłości. Mapa jest całkiem czerwona. Trzy noce i trzy dni. Nie mogę się doczekać.

Anna otwiera koperty, białe, niebieskie, różowe. W niektórych znajduje zasuszone kwiaty, które kruszą się pod jej palcami. Są też kawałki płótna, drobne drzazgi poszarzałego drewna. Po krótkich notkach następują długie listy, wycinki z gazet, całe strony z zakreślonymi przez Urszulę miejscami, upstrzone wykrzyknikami. Większość listów nadanych w Niemczech. *Mit Luftpost*, informują niebieskie

naklejki, przez *Deutsche Bundespost*, ale są też listy pisane na szaroniebieskiej papeterii Hotelu Intercontinental w Genewie, z jej dwujęzycznym ostrzeżeniem: *L'expéditeur de cette lettre n'engage pas la responsabilité de l'hôtel*. Hotel nie bierze odpowiedzialności za treść listu. Anna nie zważa już na chronologię listów, wybiera je losowo, małe skrawki miłości, którą William tak dobrze przed nią ukrywał.

Mama przyjechała na kilka dni i oświadczyła, że muszę jej pozwolić wyremontować moją łazienkę. Kurki ciekły a ona westchnęła w ten swój śmieszny sposób. —Moja kochana córeczka! Niepraktyczna, nieodpowiedzialna, podstrzelona. Pije i pali bez umiaru. Kocha bez umiaru. Nie oszczędza się. Za dużo oddaje innym.

Powiedziałam, że może zrobić, co zechce z tą moją łazienką — co za błąd! Pojechałam na kilka dni do Paryża, a po powrocie zastałam ten różowiutki cud. Umywalka i wanna są w kształcie odwróconych muszli. Jedna ściana to olbrzymie lustro, druga pokryta różowymi kafelkami — na co szesnastym, białe muszelki. Policzyłam, więc wiem. Podłoga jest biała, beznadziejny pomysł, bo widać na niej każdy włos. Kupiła mi też całą stertę różowych i białych ręczników, grubych i miękkich. Tylko kurki są ciekawe. Styl Bauhaus, mosiądz, miłe w dotyku. Spodobają Ci się. Mama odjechała bardzo z siebie zadowolona, a ja, w grzesznym upojeniu, nalałam tych jej truskawkowych, kąpielowych płynów do wanny-muszli i moczyłam się tak długo, aż opuszki palców przypominały suszone śliwki. Próbowałam do Ciebie zadzwonić, ale już poszedłeś do domu, więc zamiast rozmowy marzyłam o Tobie.

Kochany! Nasza miłość jest tylko dlatego taka silna, że jesteśmy daleko od siebie i że zachowujemy dla siebie tylko to, co jest w nas najlepsze. Spotykamy się pełni tęsknoty, rozstajemy się zanim się nasycimy, zanim dopadnie nas zniecierpliwienie. Kiedy wracam do domu, dziękuję bogom za ciebie i wstrzymuję oddech, aby niczego nie zepsuć. A Ty? Ty starasz się wyobrazić sobie, do jakich granic moglibyśmy dojść, czym mogłoby być nasze wspólne życie. Ja nie jestem taka odważna. Urs.

Anna zrywa się tak gwałtownie, że przewraca dębowe krzesło. Valerie, sekretarka Williama, musiała usłyszeć hałas za ścianą, bo puka do drzwi. —Wszystko w porządku? —pyta, jej głos pełny zaniepokojenia.

—Tak, wszystko w porządku—odpowiada Anna. —To tylko krzesło. Ja… przewróciło się na podłogę.

Otwiera drzwi i nawet udaje jej się wywołać lekki uśmiech na twarzy. —Nic takiego, powtarza, to tylko krzesło.

—Jestem tuż obok, gdyby mnie pani potrzebowała, Pani Anno. Valerie uśmiecha się i Anna wie, że ją uspokoiła.

—Bardzo dziękuję. — Zamyka drzwi i czeka, aż kroki Valerie oddalą się. Czas ucieka, a tyle jest do zrobienia. Najważniejsze, to wrócić do domu. Tu, na wydziale Williama, jest zbyt wiele osób. Valerie, koledzy. Biuro Malkolma jest tuż obok. Gdyby zaczęła krzyczeć, natychmiast by przybiegł.

Na podłodze leżą przygotowane pudła. WYRZUCIĆ pisze pośpiesznie na kartonowych pudłach czarnym mazakiem pozostawiającym po sobie ostry odór rozpuszczalnika. Opróżnia do pudeł zawartość szuflad, wsypując wszystko, co w nich znajduje. Spinacze do papieru, długopisy i ołówki uderzają o kartonowe ściany. Pineski, nożyczki, zwoje taśmy klejącej. Otwiera kolejne szuflady wypełnione papierami. Opróżnia je do przygotowanych pudeł, garść po garści.

Wkrótce na biurku Williama pozostają tylko dwie fotografie i listy Urszuli. Anna wkłada listy i zdjęcie Julii do koperty i wpycha ją do torebki. Jej własna podobizna na drugiej fotografii denerwuje ją fałszywym wyrazem samozadowolenia, naiwną pewnością siebie.

Pamięta jak kochali się tu, w tym pokoju. Tuż za drzwiami. Kilka tygodni po ślubie, po wycieczce na Barbados, gdzie po raz pierwszy w życiu widziała palmy, gdzie po raz pierwszy kosztowała wilgotne, mięsiste kęsy papai. Wbiegła do tego biura by się z nim zobaczyć, z zaróżowioną twarzą, głosem pełnym podekscytowania.—Kochany, chcę Ci coś pokazać—powiedziała. Już nawet nie pamięta, co to było. Pamięta tylko, jakże teraz boleśnie, że wstał i zamknął za nią drzwi. Na klucz. —A ja chcę Ciebie—powiedział. Przyciągnął ją ku sobie, jego ręka wędrowała po jej plecach. Przycisnął ją mocno do drzwi i pocałował. Przez chwilę, zanim zamknęła oczy, spojrzała na siebie samą na tej właśnie fotografii, przyglądającą się im w tym właśnie momencie, pewną siebie, szczęśliwą. Czy w tamtej chwili William także myślał o Urszuli?

Ratusz we Wrocławiu, ruiny.

Tekst ukazał się w „Liście oceanicznym” – dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto w 2003 r.

„Konieczne kłamstwa” w polskiej wersji językowej ukazały się w wydawnictwie Twój Styl w 2004 r.

O emigracji, życiowych wyborach, stosunku do przeszłości i twórczości

pisarskiej

Ewa Stachniak, Wrocław

Joanna Sokołowska-Gwizdka – Rozpoczęła Pani swoją twórczość literacką w Kanadzie od małej formy prozatorskiej, od opowiadań publikowanych w różnych, często prestiżowych magazynach literackich. Czy „Spacer nad Credit River" to jakiś szczególny tekst?

Ewa Stachniak – Jest to historia pewnej wizyty. Matka z Polski odwiedza córkę w Kanadzie. Obie kobiety idą na spacer do parku wzdłuż rzeki Credit River w Mississaudze. Podczas spaceru, rozmawiają. Córka jest w związku z mężczyzną – Kanadyjczykiem amerykańskiego pochodzenia. Po rozmowie z matką, rozmowie trudnej, zahaczającej o bolesne wspomnienia rodzinne, bohaterka opowiadania lepiej rozumie siebie, swojego przyjaciela, matkę. Czy to tekst szczególny? W pewnym sensie tak. Myślę, że takie rozmowy, dwupokoleniowe, prowadzone na emigracji z

rodzicami, są niezwykle ważną częścią emigracyjnego doświadczenia.

Publikacja w “Odrze” jest moim polskim debiutem. Aktualnie pracuję nad zbiorem opowiadań. Wszystkie opowiadania mają polski kontekst, ich bohaterowie są w jakimś sensie emigrantami, przechodzą moment głębszego zrozumienia własnej tradycji, a także konfrontacji ze światem innych wartości.

JSG – Pani powieść “Konieczne kłamstwa” wywołała duże zainteresowanie kanadyjskiej krytyki. Ma ona wiele warstw i rozgrywa się na kilku płaszczyznach. Jedna płaszczyzna to niezwykle ważne w historii Polski dziesięciolecie 1981-1991, okres przemian, widziany z daleka oczami osoby, która wyjechała. Pojawia się trudny problem emigracji, adaptacji w innym środowisku kulturowym, nabierania dystansu do przeszłości, przewartościowywaniu. Pani bohaterka, Anna nie jest w powieści oceniana. Ona żyje swoim życiem. „Musiała zdradzić jego lub siebie. Innego wyboru nie miała”.

ES – “Konieczne kłamstwa” jest powieścią o emigracji i powrocie, tym pierwszym, po latach, gdy nasz wzrok jest wyostrzony, gdy widzimy więcej i chyba inaczej niż kiedykolwiek indziej, bo te późniejsze powroty są już zwykle tylko rutyną. Nie oceniam Anny. Nie oceniam moich bohaterów, nie mam recepty na życie. Moim zadaniem jest przedstawienie świata tak, jak go w danym momencie doznaję i rozumiem. A ocena tego świata i jego postaci należy do czytelnika. Być może są czytelnicy, którzy potępią Annę choćby za to, że zostawiła swojego pierwszego męża. Inni być może zastanowią się nad jej doświadczeniami, jej stosunkiem do historii, do polsko-niemieckich konfliktów, do nowej niepodległej Polski. Anna jest emigrantką z Polski. Polska ją uformowała, Polska ukształtowała jej poczucie historii. Jej doświadczenia mogą być interesujące nie tylko dla innych emigrantów, ale i dla tych, dla których emigracja nigdy nie była alternatywą.

JSG – Inny plan Pani powieści, równie ważny, to kontekst historyczny. Anna pochodzi z Wrocławia. W Montrealu poznaje Williama, urodzonego w Breslau. Łączy ich teraźniejszość, ale przeszłość również jest pomiędzy nimi nawet, jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Matka mówi, do Anny:

“Czy wiesz, co jego ojciec robił podczas wojny?” Potem okazuje się, kim był ojciec.

ES – Historia ojca Williama ma swoje historyczne źródło. Podczas moich lektur na temat Breslau zainteresowała mnie historia Josefa Wagnera, przedostatniego Gauleitera Breslau. Jego żona była katoliczką. Tuż przed wojną córka Wagnerów zakochała się w Esesmanie, z którym zaszła w ciążę. Jej ukochany zjawił się na przyjęciu u państwa Wagnerów i publicznie poprosił o rękę córki. Żona Gauleitera Breslau oświadczyła, że nie wyrazi zgody na ten związek. Powiedziała, że jej córka może zrobić co zechce, ale bez błogosławieństwa rodziców, bo oni nie pobłogosławią związku z barbarzyńcą. Następnego dnia Gestapo zaaresztowało Gauleitera Breslau. Wagner miał kilka pokazowych procesów ze sfabrykowanymi dowodami. Jednym z zarzutów przedstawionych Wagnerowi był jego rozkaz traktowania polskich więźniów "po ludzku", uznany za działalność przeciwko Rzeszy. Wojnę spędził w więzieniu. Zginął rozstrzelany w Berlinie w maju 1945 roku.

W tej historii zainteresował mnie nie tyle Gauleiter Wagner i jego żona, lecz ich córka, zakochana młoda Niemka, oczekująca dziecka, gotowa poślubić swojego ukochanego. Nie wiem czy z nim została, czy zaakceptowała jego nazistowską ideologię. Co czuła wiedząc, że pośrednio przyczyniła się do śmierci ojca? Oczywiście próbowałam się dowiedzieć, co się z nią stało, ale w pewnym momencie przestałam szukać dalszego ciągu tej historii. Postanowiłam ją sama napisać. Stwierdziłam, że ta młoda matka i jej dziecko będą postaciami w mojej powieści. Käthe i jej syn William są konsekwencją tej decyzji, konsekwencją zauroczenia historią Wrocławia i Breslau.

JSG – Zapowiadała Pani, że fabuła kolejnej powieści również oparta będzie na polskich wątkach, z bohaterami – Polką i Francuzem. Tym razem wydarzenia mają rozgrywać się w innej scenerii, innej epoce historycznej XVIII/XIX wieku. Znów pojawi się temat spotkania kultur, weryfikacja mitów, spojrzenie na siebie i własną przynależność narodową z innego punktu, spoza umownych i fizycznych granic. Jak przebiega praca nad tą powieścią?

ES – Epoka post-napoleońska jest dla mnie równie interesującym momentem historycznym co najnowsza historia. Mapa Europy została wtedy ponownie zmieniona. Polska straciła nadzieję, że jakikolwiek Bóg Wojny pomoże jej odzyskać niepodległość. W tym kontekście, zaczęłam szkicować postacie, pochodzące z różnych kultur. Thomas Lafleur, Francuz, chirurg, który jako lekarz przeszedł całą

kampanię napoleońską, aż do Moskwy. Rosalia, córka oficera Legionów i hasydzkiej dziewczyny z Humania. Obu osobom patronuje Piękna Bitynka, Zofia Glavani vel de Witt – Potocka, umierająca w Berlinie w 1822 roku na raka. Ta Greczynka, wspaniale radziła sobie w polsko-rosyjskiej rzeczywistości XVIII wieku, w erze kłamstwa i intryg. Gdy miała 17 lat, matka sprzedała ją Karolowi Boscampowi, ministrowi polskiego króla. W 1798 roku została żoną Szczęsnego Potockiego.

To są główne postacie mojej nowej książki, a to, co między nimi się wydarzy na razie trzymam dla siebie.

JSG – Pani prozę odczytuje się na wielu płaszczyznach, w różnych kontekstach, współczesnych i historycznych. Barwnie nakreślone postacie poruszają się w świecie wyborów, w kulturowych zderzeniach. Utwory literackie są ciekawie skonstruowane, mają trzymającą w napięciu linię fabularną, zaskakującą intrygę. Przekazuje Pani czytelnikowi dużo głębokich przemyśleń z rożnych obszarów i epok, zachowując jednocześnie atrakcyjną, beletrystyczną formę. Jak przebiega u Pani proces tworzenia?

ES – Tworzenie świata fikcji zaczynam od szkicowania postaci. Np. myślę o dziecku młodej Niemki, która widzi, jak donos złożony na Gestapo przez narzeczonego prowadzi do śmierci jej ojca. Próbuję sobie wyobrazić jej dzieciństwo, jej fascynację młodym Esesmanem. Czy zgodzi się z narzeczonym, z jego ideologią, czy odwróci się od niego i znajdzie własną drogę? Czy kiedykolwiek wyzna swojemu dziecku powody śmierci dziadka? Postać musi mnie zafascynować, musi zacząć żyć w mojej wyobraźni. Muszę ją widzieć, słyszeć jak rozmawia. Dopiero wtedy mogę o niej pisać. Dla mnie pisanie jest procesem przekazywania obrazu słowami.

JSG – Czy wykreowana przez Panią postać, żyje również po napisaniu książki?

ES – Podczas tworzenia, na pewno tak. Nieustannie myślę o moich postaciach jak o osobach istniejących w realnym świecie. A to, co się potem z nimi dzieje, zależy już tylko od czytelników. Książka musi sama sobie radzić, jak dziecko, które się wypuszcza w świat. Chciałoby się dla niej jak najlepiej, ale jej los nie jest już w rękach pisarza.

JSG – Pisze Pani po angielsku. Czy Polska jest atrakcyjnym tematem dla

kanadyjskiego czytelnika, który ma małą wiedzę na temat specyfiki polskiej rzeczywistości?

ES – Moja agentka, która ma polskie korzenie, twierdzi (z ubolewaniem), że Polska nie jest modnym tematem. Irlandia jest modna, Chiny czy Indie są modne, ale nie Polska. A przecież historie z pogranicza wschodu z zachodem są niezwykle fascynujące, są częścią ludzkich doświadczeń, doświadczeń uniwersalnych, ponadnarodowych. Wychodzę z założenia, że każdy temat może być fascynujący, jeśli zostanie ciekawie opowiedziany. Cieszy mnie, gdy kanadyjscy czytelnicy mówią, "Nigdy nie przypuszczałam, że Wrocław miał tak ciekawą historię." Wtedy odpowiadam, "ależ nie tylko Wrocław…"

JSG – W swoich książkach porusza Pani problemy emigracji, trudnych wyborów, a więc nie tylko polska tematyka jest obecna w Pani literaturze, lecz są też wątki uniwersalne, które powinny znaleźć swój podatny grunt, właśnie tutaj, w Kanadzie, w multikulturalnym tyglu.

ES – W Kanadzie żyjemy wśród ludzi z różnych kultur a nasze wspólne doświadczenia są częścią kultury uniwersalnej. Jestem i zawsze będę związana z Polską. Jednocześnie, jestem i będę silnie związana z Kanadą. Chciałabym by polski głos nie był tu postrzegany jako głos egzotycznych doświadczeń, ale jako pełnoprawny głos kultury światowej.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” , dodatku kulturalym „Gazety” z Toronto, czerwiec 2003, nr 6.

Naukowa wędrówka

po hiszpańskojęzycznej literaturze

Od lewej: rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Marek Bojarski, prof. Florian Śmieja i prof. Beata Baczyńska.

Z prof. Florianem Śmieją, iberystą mieszkającym w Kanadzie, który 6 maja 2015 r. podczas uroczystosci otrzymania doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego, został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej, przyznanym przez króla Hiszpanii Filipa VI – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie Profesorze, studiował Pan na University College w Cork w Irlandii, potem w King's College w Londynie, by w 1955 roku uzyskać tytuł magistra filologii hiszpańskiej. Skąd u Pana zainteresowanie hiszpańską literaturą?

Florian Śmieja: Z językiem hiszpańskim spotkałem się w 1947 roku w Irlandii. Znajomość łaciny zachęciła do poważniejszego zajęcia się nim i później w Londynie kontynuowałem jego studiowanie na King's College robiąc tam magisterium i doktorat. Egzotyczny język stał się kluczem do fascynującej literatury i zachęcał do prób tłumaczenia.

JS-G: Jako badacz literacki, zajmował się Pan literaturą starohiszpańską. Co Pana urzekło w literaturze tego okresu?

FŚ: Zafascynowała mnie literatura starohiszpańska, gdyż akurat wtedy udało się uczonym odcyfrować teksty arabskie i hebrajskie zawierające ślady romańskich wtrąceń. Frapowała również saga wojen arabsko-iberyjskich okresu odzyskiwania Półwyspu spod jarzma najeźdźców. Pociągała też dworskość i kurtuazja balladowych

bohaterów zmagań na jątrzącej przez wieki granicy.

JS-G: Jako pierwszy wskazał Pan na zbieżność teorii konceptu Baltasara Graciána, hiszpańskiego jezuity, z poetyką Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. Na czym polegał ten koncept?

FŚ: Pracując nad konceptyzmem barokowej literatury hiszpańskiej, przeczytałem wydaną w 1958 roku przez Stanisława Skiminę rozprawę Macieja Sarbiewskiego (1595-1640) „De acuto et arguto", o poincie i dowcipie. Zauważyłem w niej interesujące zbieżności z teoriami hiszpańskiego jezuity Baltasara Graciána (1601-1658). Ponieważ obaj byli w podobnym czasie w Rzymie, zaświtała myśl o interakcji w formułowaniu pojęcia zgodnej niezgodności (concors discordia), co natychmiast zwróciło uwagę brytyjskich hispanistów, w pierwszym rzędzie profesora Aleksandra Parkera, mojego promotora.

JS-G: Interesuje Pana literatura hiszpańska tworzona przez autorów nie tylko z Hiszpanii, ale i z całego hiszpańskojęzycznego obszaru kulturowego, z Meksyku, Kuby, Ameryki Łacińskiej. O spotkaniach z pisarzami spoza Hiszpanii pisał Pan w „Migawkach", potem w „Śladach światła". Czy można znaleźć wspólny mianownik dla współczesnej literatury hiszpańskojęzycznej na świecie?

FŚ: Wspólnym mianownikiem literatury hiszpańskojęzycznej jest oczywiście język. Spotkałem ostatnio w Zabrzu Czesława Ratkę. Zafascynowany historią chilijskich Indian, nauczył się hiszpańskiego i pilnie przekłada epopeję Alonsa Ercilli „Araucana" na piękne polskie oktawy. Podobnie rozkwit realizmu magicznego powieści latynoskiej pobudził szerokie zainteresowanie się nią.

JS-G: Czy można znaleźć uniwersalny klucz do literatury hiszpańskiej?

FŚ: Obawiam się, że nie. Zmieszanie kultur, barokowe ekscesy, ekscentryczna wyobraźnia, pogarda śmierci, fanatyczna żywiołowość, egzystencjalny lęk, to wszystko nie daje jednoznacznej odpowiedzi na atrakcyjność ducha iberyjskości, na potrafiący zaskakiwać fenomen.

JS-G: Jest pan autorem przekładów literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, m.in. Gustava Adolfa Bécquera, Juana Ramóna Jimenéza, Camilo José Celi, Luisa

Martína-Santosa. Dlaczego wybrał Pan tych twórców, aby przybliżyć ich polskiemu czytelnikowi?

FŚ: Niektóre tylko moje przekłady ukazały się drukiem, inne czekają na łaskawsze czasy. Wiele dalszych padło po drodze, gdyż jest ona żmudna i niełaskawa. Trzeba wielkiego samozaparcia, by trwać na tym ugorze najczęściej bez żadnej rekompensaty i uznania. "Srebronia" Jimenéza poznałem jeszcze w Irlandii. Pofatygowałem się parę razy do Moguer, by poznać okolice i ludzi. Starałem się zapoznać ze wszystkimi szczegółami i z niczego nie rezygnować. W Andaluzji poznawałem krajobrazy opisywane w relacjach z rekonkisty. Przygotowywałem się do przekładu meksykańskiej powieści o rewolucji, jadąc autobusem wzdłuż całej ruty akcji opisanej w oryginale. Sympatyzowałem z losem cristeros zmasakrowanych przez wojska rządowe i dlatego spolszczyłem czytadło "Zadumana". "Czas milczenia" zapowiadał liberalniejszą powieść hiszpańską, a że wydawca nie umiał znaleźć tłumacza, więc pomogłem.

JS-G: Czy tłumaczył Pan także literaturę polską na język hiszpański?

FŚ: Moje tłumaczenia polskich tekstów skończyły się nikłym powodzeniem. Praca nad tomem wierszy Herberta w Maladze przepadła, zdołałem wydrukować tylko pojedyncze wiersze Herberta i Szymborskiej. W Meksyku ukazał się tomik moich tłumaczeń Stanisława Leca „Myśli nieuczesanych" jako „Pensamientos desmelenados".

JS-G: Był Pan przez wiele lat wykładowcą: w School of Slavonic and East European Studies, London School of Economics, Nottingham University, Western Ontario University w Kanadzie oraz PUNO – Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Po przejściu na emeryturę, powiedział Pan, że chciałby spłacić dług wobec studentów polskich. Podjął Pan wówczas współpracę z Akademią Polonijną w Częstochowie, a w latach 1991–1997 prowadził Pan seminaria oraz wykłady gościnne na Uniwersytecie Wrocławskim. Przyczynił się Pan tym samym do ukształtowania pierwszego pokolenia hispanistów po 1989 r. i rozwoju studiów hispanistycznych w Polsce. W jakim stopniu studenci w Polsce interesują się literaturą hiszpańskojęzyczną?

FŚ: Owszem, ucząc Brytyjczyków i Amerykanów a potem Kanadyjczyków języka hiszpańskiego marzyłem o wykładach dla polskich studentów. I to mi się udało po

przejściu na emeryturę w 1990 roku. Spędziłem partie kilku lat we Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, oraz liznąłem trochę Kraków, Wilno i Ostrawę. Studenci wrocławscy zapadli najgłębiej w mojej pamięci, szczególnie myślę o trzech dobrych doktoratach, w których uczestniczyłem.

JS-G: Proszę opowiedzieć o swoim spotkaniu i wieloletniej współpracy z prof. Beatą Baczyńską z Uniwersytetu Wrocławskiego, która w maju br. wręczyła Panu doctorat honoris causa UW w tej samej barokowej Auli Leopoldyńskiej, w której kiedyś Pan jej wręczył doktorat nauk humanistycznych.

FŚ: Profesor Beatę Baczyńską spotkałem w Madrycie w 1989 roku. Byłem wtedy na dwumiesięcznym stypendium ministerstwa hiszpańskiego, a ona na kursie jako świeża magister Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zgadaliśmy się o Calderonie. Mnie nękało poczucie niedosytu, bo jako uczeń profesora Parkera i jego szkoły calderonowskiej, nie wykazałem się żadnym osiągnięciem na tym polu i zainteresowanie Beaty Calderonem obiecywało jakąś możliwość późnej kompensaty. Wtórowałem jej pracom i obficie korespondowałem z nią zanim przedstawiła drukowaną później pracę doktorską o „Księciu Niezłomnym". Publikując następnie książkę o teatrze Calderona wpisała się na listę polskich znawców hiszpańskiego dramaturga potwierdzając to współorganizacją międzynarodowego kongresu. Jej wydana w 2014 roku monumentalna „Historia literatury hiszpańskiej" ustaliła kaliber jej zaangażowania i jakość przesłania. Podejrzewam, że jej udział w przekonaniu Rady, by uczciła mnie honorowym wyróżnieniem, a wystąpienie jako promotora stworzyło bajkową wprost sytuację mojej inwestytury. Nauczyciele rzadko doczekują się równej przygody.

JS-G: Podczas tej samej uroczystości we Wrocławiu otrzymał Pan Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej (Orden de Isabela la Católica) przyznany przez króla Hiszpanii, Filipa VI. Krzyż ten jest najwyższym odznaczeniem w Hiszpanii. Aktu dekoracji dokonał Agustín Núnez Martínez, ambasador królestwa Hiszpanii w Polsce oraz Josep Maria de Sagarra, dyrektor Instytutu Cervantesa w Warszawie. Czym dla Pana było to zaszczytne wyróżnienie?

FŚ: Nie odgadłem dotąd istotnej przyczyny nadania mi hiszpańskiego medalu. Było to dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Moja spontaniczna replika, że to tak jak z

bombami na wojnie – padają daleko od frontu i zazwyczaj na niewinnych, wcale tak dalece się nie myliła. Ale order Królowej Izabeli Katolickiej zawisł na mojej szyi, więc zobowiązuje do wierności dziedzictwu Króla Filipa VI, którego podpis na dyplomie przypomina, że służba moja została zapamiętana i nagrodzona, choć może zbyt szczodrze. Przystoi jednak wielkim przesada. Widzę w tym geście docenienie wydziału i jego zasłużonych pracowników.

JS-G: W Polskich wydawnictwach są dwa pana tłumaczenia z literatury hiszpańskiej. Od 11 lat w wydawnictwie „Czuły barbarzyńca" czeka przełożony przez Pana „Srebroń i ja" Juana Jimeneza. W jednym z wrocławskich wydawnictw, czeka też na druk pana przekład z Baltazara Graciana „Wyrocznia podręczna i sztuka roztropności". Jak Pan myśli, dlaczego wydawnictwa zwlekają z wydawaniem tłumaczeń literatury hiszpańskiej?

FŚ: Nie rozumiem, dlaczego nie wydają od dekady„Srebronia i ja," autora nagrodzonego Nagrodą Nobla, a przetrzymywanie tekstu jest po prostu skandalem. Wydawca obiecał solennie wydać w tym roku, ale jeśli nie skorzysta z koniunktury, to winien się wziąć za inny fach. „Wyrocznia podręczna i sztuka roztropności" jezuity Baltazara Graciana ukaże się we Wrocławiu w opracowaniu Beaty Baczyńskiej i Jose Luisa Losady. Obecnie wprowadzany jest do edycji aparat naukowy. Będzie to pierwszy polski przekład dokonany z oryginału i jego debiut spodziewany jest jeszcze w tym roku.

JS-G: Czy gdyby jeszcze raz wybierał Pan kierunek swoich zainteresowań, poszedłby Pan drogą literatury hiszpańskojęzycznej?

FŚ: Sądzę, że gdybym teraz wybierał kierunek, to znałbym lepiej studiowaną materię i język i bardziej skorzystał z wieloletniego doświadczenia. Miałbym wtedy szansę zrobić swoje propozycje lepiej i szybciej, a w konsekwencji więcej.